

Leonard Cwalina

Z b i e g

Nowela

Autor noweli „Zbieg”, p. Leonard Cwalina, jest dziennikarzem amerykańskim. W ciągu 10 lat pobytu w Ameryce poznał dobrze życie, dola i niedolę polskiego emigranta. Nowela, którą poniżej zamieszczamy, jest przedstawieniem w wyrazistym skrócie obrazem z wielkiej, bezlitosnej gieldy pracy, jaką tworzą Stany Zjednoczone. Obrazem tembardziej charakterystycznym, że Cwalina pisze potocznym językiem emigranta-robotnika, zamerykanizowaną polszczyzną. (Red.).

Usiadł ciężko na zielonej ławce parku, wyciągnął zmęczone nogi przed siebie i spojrzał z troskczym wzrokiem na zakurzone, popękane buty. Dopiero teraz zauważył, że szeroki nosek lewego buta odstawał od przyszwyci i że pomiędzy przyszwyci a noskiem utworzyła się wyraźna szczelina. Schylił się powoli, wypróbował ją palcem, następnie wyprostował się z trudem, nogę wyciągnął przed siebie, zgiął stopę w dół, potem do góry, potem znów nadół ściągnął i zakończywszy te doświadczenia, głową pokławił z ubolewaniem.

Hm, hm. Niedobrze było. Nie dlatego niedobrze, że nosek buta odstawał od przyszwyci, bo temu jeszcze można było zaradzić, lecz dlatego, że cały lewy but rozlaźlił się na cztery strony, a prawy nie miał ani obcasa, ani wielkich nadziei na najbliższą przyszłość.

Był już wrzesień, a deszcze coraz częściej spadały na obszar wielkiego New Yorku, który Walenty Zientak przemierzał codziennie wzdłuż i wszerz z Północy na Południe i ze Wschodu na Zachód, zależnie od adresów w gazecie, które kierowały go w tę lub inną stronę w poszukiwaniu nieuchwytnych pracy. Był też i inny nieprzejrzysty szczegół. Otóż Walenty Zientak zauważył, że gdy się prosiło o pracę, to ewentualnie pracodawca zmierzał go zawsze szacującym spojrzeniem, takim od stóp do głów, no i oczywiście wzrok jego padał niezmienianie na buty, popękane doniedawna, lecz teraz najwyraźniej w świetle podarte, dziurawy.

„A dziurawy but wiadomo... Dziurawy but lepiej o nędzy rozpowie, niż kumoszka, co to języka za zębami utrzymać nie potrafi, no a żaden boss nie będzie znowu z nędzą się patyczkował. Spójrz tylko na buty, potem na ubranie popatrz, po twarzy oczyma przeleci i głową tylko potrząśnie, że niby pracy niema, że „full up” je. Bo to boss wszak od tego jest, żeby myślał, żeby mógłmiem ruszać. A jak mógłmiem ruszać to po dziurawych butach od razu pozna, że nędza. A dlaczego nędza? Ano dlatego, że robić nie chce, albo pije, cholera, albo kłóliwy jest, albo cośik z nim nie tak jak być powinno. No, to boss zara głową kiwa i mówi, że nie z tego. Żeby choć miał jakie buty całe to od razu robotęby dostał, a tak...”

Takie to myśli chodziły po głowie Walentego Zientaka, gdy siedział na zielonej ławce obszerne parku, osłoniętej żółtym wachlarzem gałęzi. Zapadły wzrok jego był utkwiony w to, co przynajmniej on uważał za przyczynę swoich niepowodzeń, a twarz jego stara, zniszczona, porwana brudami zmarszczek wyrażała rezygnację i przynębnienie.

Walenty Zientak miał 52 lata; wyglądał jednak o wiele starszy. Wyglądał właściwie na lat sześćdziesiąt a może na więcej. Życie sponiewierało go, obeszło się z nim po macossemu, zepchnęło go w wartki nurt wypadków, wykreśliło go z listy żyjących i teraz gdy był już stary i niedołężny, z tą samą bezzwzględnością co i przedtem, wyrzuciło go na brzeg przymusowej bezczynności.

Chłosta losu była silna i bolesna. Była tak silna, że Walenty Zientak przedstawiał już tylko strzęp ludzki — obiekt nie do użytku w gigantycznym świecie businessu, który potrzebuje wszak rąk młodych, silnych i pracowitych.

Walenty Zientak nie był już ani młody, ani silny i chociaż nie widział tego, chociaż nie chciał tego widzieć, ci do których zwracał się z prośbą o zatrudnienie byli wyjątkowo spostrzegawczy w ocenie jego ewentualnej wydajności, która nie mogła

już być ani duża, ani tem samem dla nich korzystna.

I oto Walenty Zientak, przemierzający jak zwykle bezskutecznie swoją codzienną porcję mil betonu, siedział teraz na ławce i odpoczywając rozmyślał nad tem, że świat 30 lat temu był jak by inny, jakby bardziej łaskawy i mniej bezwzględny jeśli o znalezienie pracy chodziło.

„Trzydzieści lat temu. Ha! Trzydzieści lat temu to wszystko inaczej było — rozmyślał Walenty Zientak, patrząc przymglonym wzrokiem gdzieś na asfalt chodnika, a właściwie nie na asfalt, lecz na trzydzieści lat swego życia, które przesunęło się przed jego oczyma. — Trzydzieści lat temu to świat był inny i ludzie inni byli i człek nie musiał tam i nazad chodzić i butów zdzierać, jak dzisiaj. Trzydzieści lat, a tak jakby wczoraj to było. Wszak wtedy on taksamo, jak teraz, na ławce w parku siedział i nikla w kieszeni jeno miał i nie wiedział, gdzie pójść, co robić, jak o pracę zapytać.

Grinor był wtedy, dwadzieścia dwa lata temu, miał i tylko co do Ameryki przyjechał. A głodny był wtedy że wilka z rogami był. Well, wilk nie ma rogów, ale woł ma, to wołuby zjadł, siur. Ale wtedy ubranie miał na sobie fest i buty starokrajskie z cholewami na glanc, a że się na sztrycie śmieli, to cholewy w nogawice chował, żeby niedopoznali było. Siedział na ławce, bo nogi go boleli — cały dzień za robotem laził — i całonocny przebiegał, gdyby deszcz jak z cebra nie lał i z parku go nie wygnał. Poszedł tedy sztrytem przed siebie. Szedł, szedł długo, skęgił w jedną ulicę, potem w drugą między jakieś fabryki i składy, gdzie już i światła prawie nie było, tylko daleko od siebie rozstawione latarnie, światło rzucały, jak łojowe świeczki. Zmęczony był, to usiadł sobie na schodkach jakiejś szopy pod daszkiem, gdzie sucho było i deszcz nie padał, a potem położył się, skulił, koutem nakrył i zasnął mocno jak kamień. A potem widział tylko, że ktoś go tam za ramię szturchnął i zaczął tarmosić mocno, a jak oczy otworzył to zobaczył, że wielka chłopa na sztrycie stoją i wszystko z gazetami, albo w ręku, albo w kieszeni, albo pod pachem. To on też między nimi stał; coś gadali do niego po angielsku, ale on ich nie rozumiał i głową potrząsał i ręce rozkładał — mówi, że nie pojmuje. A potem jakiś chłop na stronę go odciągnął za rękę wziął i spytał cicho — „Polak jeźdź?” A jak te słowa usłyszał, to jakoś ciepło mu kolo serca się zrobiło i dech zatkał tak, jakby brata spotkał, tego Mietka, co to kolo Łowicza w Krzeszowcach ziemię orał. Za rekaw rodaka schwylił i puścić nie chciał, bo się bał, że znów śród obcych ostanie. A ten drugi na buty mu spojrzał, na portki, na kout, na twarz, a potem powiedział „Auraj. Czekaj tu. Zaraz z formanem pogadam”. Przyszedł tedy z formanem, a ten mu też na buty popatrzał i zmierzwił całego od góry do dołu, a że buty miał całe i na nędzarza nie wyglądał „auraj” powiedział i na worki pokazał co to w składzie leżał, a potem na wagony i cośik rodakowi po angielsku wytłumaczył. No i zara tedy do pracy stanął i zaczął worki taskać z tego składu na wagony. Tak pierwszy dziab dostał.

A potem drugi w Brooklynie: szify ladować. Ciężka była robota, ale płacili dobrze, to trzymał się jej aż mu sił starczyło. Tom robotę też mu ten sam rodak dostal. Kaczowski się nazywał. Miał flot w Brooklynie i zara pierwszy dzień, jak tom robotę w Nef Yorku skończył do siebie zaprowadził, jeść dał, nakarmił, napoił i przemocował. No i odtąd w Brooklynie pozostał.

Jak niedziela była, a owertajm nie robili, to do kościoła z Kaczowskim poszli, a potem do dum i spał do wieczora, albo w karty grał, albo do muwis na piket se poszli, jak było cośik śmiesznego. A jak pogoda była do bra, to na Kunajland, albo do

Victoria Parku na zabawę co to susajda urządzała.

Jadkę swojom na takiej zabawie poznał. Ładna była dziewczyna, trochę przytyła, ale to nic, on lubił takie grube, bo takie kościaste to ani baba, ani chłop. Tańczył z niom, że aż mu pot ciurkiem po karku ciekł. Kouta musiał zdjąć i kamzelkę i krawat rozwiązać i chustką furt twarz wycierać, bo gorąc był cholerny. A jak tańczyli, to nogami przytupywał — buty wtedy miał fasonowe lakier — że aż podłoga trzeszczała i wszyscy za nimi się oglądali.

I wtedy w tańcu wyznał Jadkę że kocha jom. Nie powiedziała nic na to, jeno przytuliła się do niego i spojrzała — miała oczy duże, niebieskie jak dwa bławatki — tak pięknie, tak radośnie, że go cośik za serce chwyciło.

Na zapowiedzi dali. We wrześniu ślub był. Dzień był pochmurny, a tak lało, że psa na sztrycie byś nie wygonił. Do kościoła pojechali karetem — wtedy karę rzadko na ulicy człek spotkał. Kaczowski też pojechali i Pawlak i Andrusiewicz z żonom i inne sunsiady. Ksiądz proboszcz raz, dwa ślub im dał, pobłogosławił i jeszcze kilka słów powiedział. Po ślubie księdza prosili, żeby na wesele przyjechał, kunięcznie, ale ksiądz nie obiecywał, mówił, że bizi jest, ale potem na pięć minut przyjechał, pogwarzył, pożartował, wypił trochę i gudbał powiedział, bo śpieszył się na zebranie, co to w hali kościelnej miało być.

A oni bawili się wesoło. Jak zjedli i podpiili, to stoły zaraz na bok i do tańca. On sam wodzirejem był. Ubrany był liganko, surdut carny, krawat, kosule stylowa i lakiery na sobie miał — jak szport. A Jadka to jeszcze ładniejsza w białej sukni była jak zawsze. W kuchni ją całował, żeby goście nie widzieli, bo wstydlivy był, i w oczy jej prosto patrzył i pytał: „Zawždy moja będziesz, Jadziu?” a ona zarumieniała się i twarzączkę swojom mu na piersi położyła, mąkom surdut trochę przywalała, i powiedziała cicho: „Zawždy twoja będę, zawždy Waluku”.

Rydachtur z „Telegramu” też przyjechał; zaprosili go na wesele, a jakże. Wesoly chłop ten rydachtur był. Do Jadki niby to dla fonu się dostawiał, żeby go trochę podrażnić, ale on wiedział, że to fon był, i to tak tylko dla zabawy. A na drugi dzień to w gazecie stoją, że Walenty Zientak z miejscowości Krzeszowce i Jadwiga z domu Robak, gdy wesele święcili i się bawiono się hucznie i do samego rana.

Potem dwa lata żyli jak te gołąbki. Sztor sobie kupił — grosznie nie dużom na Lorel Ewni i cały dzień w sztorze siedział i targował. Niedużo targował, ale zawsze na życie zarobił; lepiej niż na dokach, bo tam to ciężka robota była. Ale niedużo to było, bo jak na korneże kompanijny sztor otworzyli, to cały trojdom miał tam poszedł, bo tam taniej sprzedawali jak u niego, a on nie mógł prajs obniżyć, bo nieby nie zarobił. Musiał tedy sztor zamknąć i znowu roboty szukać i wtedy przyszli dni ciężkie.

Znów na doki poszedł. Znów robił jak katorżnik; węgiel ładował, worki dźwigał, taczki pchał — cholerna robota była. Pić zaczął, bo na takiej robocie to bez wódki ani rusz. A jak pijany do dum przychodził, to Jadka zara na niego z awanturom — taka za wzięta baba była. A on też na niom; czasem obil jom, ale ona nie, na polisstejszun nie skarżyła, jak ta Andrusiakowa na swego chłopca, jeno prosiła, żeby nie pił więcej, żeby nie pił.

A w domu źle było. Rent był drogi to musieli bortnika na mieszkanie wziąć. On nie chciał, ale Jadka namawiała, bo pieniędzy było mało, a tak ta zawsze lżej. Z samego początku tego bortnika nie polubił; podejrzały cośik mu się wydał. Tak miastowy, gładki, ale z oczu mu cośik niedobrze patrzyło.

I potem jeszcze do Jadki zaczął się dostawiać. Ot tak niby nie, żarcikiem — to jej cukier przy stole poda, to uśmiechnie

się do niej, to kwiatów do dum przyniesie, niby to żeby w mieszkaniu ładniej było, ale on wiedział dla kogo te kwiaty były. Zaczął tedy ich śledzić. Z roboty wcześniej wracał, do rumu pochichu się skradał, gdzie oni siedzieli, rozmowy podsłuchiwał, ale nic takiego nie dojrzał. Myślał że się myli, że to bez zazdrości, podejrliwość go wzięła. Ale jednego dnia, jak razem przy wieczery siedzieli, to Jadka roześmiała się głośno, zalotnie jakoś — bo to bortnik znów żarcik podpuścił — i lekko go palcami w rękę stuknęła. Niby to nie nie było, ale jego coś w serce ukuło mocno i znów podejrliwość się narodziła.

Nic nie powiedział, jeno od stołu wstał, owerolsy se sobom zabrał i na robote poszedł, bo to tedy w nocy na drugom zmianie robili. Ale jak do doków się przybliżył to go znów cośik w serce ukuło i jakby djablił jakiś zaszeptał: „Babe w domu na noc z bortnikiem zostawiasz, ha-ha, ha-ha”. Ale on nic. Pięście jeno mocno zacisnął, owerolsy pod pachem zmiał i dalej sztrytom szedł do doków. A jak szedł to butami o trotuar stukał, a jak stukał to ten sam głos do niego się odzywał: „Idź, idź, idź, idź... chłopie durny... idź, idź...”

Tego to już za wiele było. Nie wytrzymał. Na pięcie zakręcił i zara do dum poszedł, pogwał jak cholera. W oknie światło się paliło w totem rumie, co to bortnik w nim mieszkał, ale on nie dojrzał nie mógł, bo štora była zapuszczona. Słyszał jeno pod oknem jak rozmawiali, a potem głos kobiecy zachichotał, a potem światło zgasiło i carno kolo dumy się zrobiło.

Cicho po śtopach na ganek wszedł, cicho klucz w zamku przekręcił i drzwi otworzył. W domu cicho było i ciemno, jakby spali wszyscy. Myślał tedy, że mu się przywidziało, że to podejrliwość go chwyciła, bo o Jadkę zazdrośny był. Chciał już zawrócić i do doków na robote iść i już kilka kroków był zrobił, a tu znowu w totem rumie u bortnika śmichy posłyszał. Ciarki mu po skórze przeszli, krew do łba wyciągnęła, a ręce miał zimne jak śmierć. I tedy jakby mgła jakaś oczy mu przysłoniła; nie nie widział tylko czuł, że w sercu cośik ciężkiego dusi, że dlawi i gniecie i że cośik zrobić musi, żeby to z serca wyrwać.

Szybko do kuchni wbiegł, siufłade wyciągnął, co to łyżki, i najwiękzy do ręki wziął. Potem jak ten kot do sionki skoczył z pięściami na drzwi chciał się rzucić, ale zatrzymał się, odskoczył z trzy kroki i z całej siły buch w ramię uderzył.

Drzwi w drzazgi poszli od razu, a on wskoczył do rumu jak warjat, za gardło go schwylił psubrata — raz, raz, jeszcze raz, na ziem rzucił, rwał, szarpał, dusił, drzgał w co popadło. A ta baba krzyczała strasznie. A tak strasznie krzyczała, że dusiła się z krzyku. A on ją potem na szyję palcami schwylił, zgniął z całej siły, żeby zadusił jak gadzinę, do okna podciągnął, żeby w oczy fałszywe jeszcze raz popatrzeć i wtedy ręce mu zadźwili, w kolanach słabość poczuł i puścił ją na podłogę. To nie Jadka była. To nie Jadka. To ta Kaśka od tych sunsiadów co obok mieszkali.

Przytomność mu od razu wróciła. Do sionki wybiegł jak szalony, a tam Jadka we drzwiach stała i patrzyła na niego, patrzyła jak na stracha. Spojrzał na niom, a potem na siebie, na ręce, na kout, na koszule — wszystko czerwone było, a w oczach mu też czerwono się zrobiło i znów na Jadkę spojrzał, a ona tylko płakała i przez łzy mówiła: „Waluku! Waluku! Coś ty zrobił?! Coś ty zrobił, o Boże Miłosierny!” To jej ostatnie słowa były.

Już odtąd nie słyszał jej więcej. Biegł sztrytem przed siebie, gdzie oczy nieśli, a stylu zanim gwizdki, krzyki i gwizdki i tupoty, jakby całe stado gonilo, i znówu krzyki, a potem coraz dalej i dalej, coraz ciszej i ciszej, a potem zupełnie cicho, a potem nie-

Bez całom noc po sztrytach się błąkał. W głowie huczało, gorzało — myślał, że zwaruje, że zmysły traci. Zdało mu się, że ktoś za nim idzie krok w krok, krok w krok. Zdało mu się, że ktoś już go za kapotę chwytą i wtedy drgał cały, kroku przyspieszał i szedł, szedł, szedł.

Gdzieś na pustej locie kolo jakiejś szopy drewnianej beczkę z wodom zobaczył. Ręce umył, plamy z koutu i ze spodni zmył, ale te plamy to jakby w ciałom się wzarły, jakby ręce i nogi paliły. Szedł przed siebie jak pijany. Trzy razy zawracał. Chociaż na polis stejszun pójść i wyznać wszystko, że tak i tak, że zabił, że nie wiedział, co robi, ale potem znowu nogi za pas brał i uciekał, uciekał.

Tak całom noc przechodził. Straszna to była noc i długa była — najdłuższa, jaką pamiętał.

Na szczęście trzydzieści talarzy przy sobie miał w koutcie zaszyte. W sekend hend sztorze ubranie kupił, a te splamione do śmietnika wyrzucił. Potem wasy zgolił, żeby polismany go na sztrycie nie poznali. Na stejszun w Nef Yorku tykiet kupił, na trejn wsiadł i pojechał daleko, daleko, do takiego miasta, co to Messing się nazywał.

Mała to była miescina; trzy tysiące ludu tam jeno mieszkalo. Wysoko w górach i daleko jakby Pan Bóg o niej zapomniał. Nad jeziorem tartak był, a takiesamo fabryka, co to papier w niej robili. Poszedł do fabryki o dziab prosić, ale tam nic nie dostał. Poszedł do tartaku i szczęście miał, bo to akurat tedy jednego robotnika brewno przywaliło. To jego forman do roboty wziął i deski nosić kazal.

No i taskał deski, taskał bez liku. Pierwsze dni to okropne były. Zawždy mu się zdawało, że ktoś patrzy na niego, że tuż, tuż za nim chodzi. A w nocy to takie straszne widzenia miał; bortnika widział jak żywego, cały czerwony był i twarz miał chudom, strasznom i oczy jak dwa ognie i wciąż na niego tylko palcem pokazywał i mówił: „To on, to ten”. A on chciał uciekać i nie mógł; na miejscu jeno stał i dreptał, a ludzie biegli i krzyczeli: „Lapaj go zboja! Lapaj!!!”

A potem Jadka taka w bieli cala, jak tego dnia co ślub brali. Stała i patrzyła na niego i mówiła jak wtedy co w kuchni ją całował: „Waluku, zawždy twoja bede, zawždy”, a potem to twarz jej ze strachu się przemieniła i palcem na niego pokazywała i krzyczała, krzyczała: „O Boże Miłosierny, coś ty zrobił, o Boże!!!”

I tak dzień za dniem płynął jak woda w strumyku. Najgorza to niedziela była, bo w dzień roboczy to bez całki dzień deski na tartaku taskał i żadne głupie myśli mu do głowy nie przychodziły. Ale w niedzielę i takiesamo w święto, to nie wiedział co robić se sobom. Jak pogoda brzydka była to w domu siedział i myślał nad swom pieskom dolom, a jak dzień ładny był, to za miasto szedł szosom do lasu, albo nad łaki i po polach się walał tam i nazad bez celu. Wtedy Krzeszowce mu się przypominały i brat Mietek i matka stara, co to go ze łzami w oczach żegnała do tej Hameryki wyjeżdżał. Chciał listy pisać, chciał się dowiedzieć co tam u nich tera się dzieje, ale mu zara do głowy przychodziło, że to nieprzebieczenie bedzie, bo znajomki w Brooklynie się zwiędzom i zara na polis stejszun dadzom znać. Kładł się tedy na trawie i ziemię ścisnął jak matkę swojom i płakał, płakał nad swym lozom przekleństwem.

Nie było tu nikogo, nie było. Sam jeden ostał jak palec na tym Bożym świecie. I Jadki nie było i domu nie było i rodaków i całej jego życie poszło, poszło.

A potem drugi rok przyszedł i trzeci i rok z rokiem biegł, jakby to nie roki, jeno dni były. A potem to już lżej było, zapominał potrzebu, nałożył się do tego życia. Pieniądze jeno do banku składał i deski nosił i żył jak ten pu-

stelnik. Tak dwadzieścia cztery roki minęli.

A w ostatnim roku to się wszystko przewróciło i na gorsze się odmieniło. Dziab stracił bo dwa razy z deskom na ziemię upadł. Forman do ofisu zaskarżył, że za stary je, że nie może już desków nosić. No to jęgo i od pracy odstawił. Ale on silny jeszcze był. Jeno tego dnia co to nogi pod nim się ugięły, to gorąc był, to wiadomo jak gorąc, to i najsiłniejszy chłop nie wytrzyma. Ale jęgo nie słuchali. Pejde wypłacili i z roboty wont poszedł.

A na drugi dzień jak do banku po pieniądze przyszedł, to przec totem bankiem wiela narodu zobaczył, a wszyscy do drzwiów się cisnели, bo każdy pierwszy chciał być. Ale drzwi zamknięte były. Sześciu policmanów przed bankiem stojalo, a naród od zewnątrz na tote drzwi parł. To on nie mógł zrozumieć co to je. Znajomka, co to razem z nim na tartaku robił, zobaczył i zara do niego poszedł i spytał. To ten mu powiedział, że bank „bankret” je i że wszystkie pieniądze, co to w niem byli, przepadli, i jęgo też. Trzy dni tam chodził i nic, a na czwarty, to mu dali 100 talarów i powiedzieli, że to wszystko co dostanie.

To on wtedy rzeczy zapakował i do Nef Yorku pojechał, bo w totem mieście, to już innego diabłu nie można było dostać. A w Nef Yorku jak ze stejszun na ulice wyszedł to jeden taki liganciki facet go zaczepił — fasonowu ubrany był i kamasze miał takte świecące i tak ładnie od niego pachniało, że aż przyjemnie rozmawiać z nim było. To ten facet zara go spytał czy diabłu szuka, a on powiedział, że tak. I dalej wyznał, że na tartaku bez 25 lat robił i że zna tom robotę. I tedy ten drugi powiedział: „Auraj, kam an”, że to on akurat niby takich szuka, co to na tartaku robił i że jemu diabł da. I tedy subwayem pojechali daleko w sam koniec Nef Yorku.

Do jakichś składów go przyprowadził i powiedział, żeby zaczął na niego, że z bossem musi pomówić i zara spytał, ile pieniędzy przy sobie ma. To on mu powiedział ile. Ten drugi to chciał wszystkie pieniądze zara zabrać, bo to boss musiał za ten dział zapłacić, ale on mu tylko 50 talarów dał. A jak tamten poszedł, to czekał na niego czekał do samego wieczora. Ciemno się zrobiło, deszcz zaczął padać a on czekał, a tamtego nie było. To on się tedy opamiętał, że ten drugi go oszukał musiał. Na polis stejszun zara dał znać, cośik tam zapisali i powiedzieli, że jak złodzieja złapiom, to jęgo powiadomiom ale pieniądze przepadli.

I tak potem chodził po Nef Yorku bez cały miesiąc i nie nie mógł dostać. Pieniądze wyszli, buty zdarł, a roboty nie było. Bo wiadomo jak boss na podarte buty spojrzy, to widzi, że nędza je. A jak nędza, to znaczy, że robić nie chce, a jak robić nie chce, to jęno gud. Żeby buty miał nowe, to od razu dziabby dostał a tak, to wiadomo...

Westchnął ciężko, pochylił się i jeszcze raz palcem po dziurze przeprowadził. Na asfalt chodnika, tuż przed nim, spadło kilka ostrzegawczych kropli deszczu. Ludzie śpiesznie opuszczali ławki i szybkim krokiem zdażali ku wyjściu, żeby ukryć się przed nachodzącą burzą. Spiekota dusiła, a powietrze było ciężkie, parne. Na niebie błysnęło; pomruk gromu dał się słyszeć w oddali.

Zientak nie śpieszył się jednak. Chusteczką oczyścił swe buty z kurzu, powstał ciężko, popatrzył na ławkę, a potem przed siebie i jeszcze raz westchnął. Niebo trysnęło naraz zimnym przysnieniem deszczu. Powoli, nie śpiesząc się, Zientak ruszył w kierunku wyjścia. Wyglądał dziwnie samotny na mokrym pustym chodniku w obszernym opustoszałym parku. Szedł wolno, niepomyślnie na strumienie deszczu, które ciekły po jego ubraniu. Szedł stary, zgarbiony, jakby dźwigał na sobie jakiś ogromny, niewidzialny ciężar...